

NIEDZIELA

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA LUDU POLSKIEGO W AMERYCE.

Nr 11. DETROIT, MICH., 15-go LISTOPADA 1891 ROKU ROKI.

Redaktor. Ks. Dr. Mieczysław Barabasza.

KALENDARZYK TYGODNIOWY.

15	Listopa.	N.	Giertrudy Panny
16	"	P.	Stanisława Kostki
17	"	W	Salomei Panny
18	"	Ś.	Poświęc. Bazyliki
19	"	C.	Elżbiety Wdowy
20	"	P.	Feliksa de Val.
	"	S.	Ofiarowanie P. M

Listy i przedpłatę

WYSYLAĆ NALEŻY POD ADRESEM:

The Polish Weekly

„NIEDZIELA”
DETROIT, MICH.

POLISH SEMINARY,

Cor. St. Aubin and Garfield Ave's,

PRZEDPŁATA WYNOŚI:

W Stanach Zjedn.

Rocznie Półr. Kwart.

\$ 2.00 \$ 1.00 50 c.

W Austrii. 5 złr. 2.50złr. 1.25.

W Niemczech. 10 mk. 5 mk. 2.50

Rękopisów drobniejszych Redakcyja nie zwraca.

KOCHAJ BOGA I POLSKĘ!



SYNU, I AMERYKĘ KOCHAJ!

MARYA- KRÓLOWA POLSKI.



MÓWCIE Z DZIECMI PO POLSKU!!!



OD REDAKCYI

Przedpłatę na „Niedzielę” i dokładne adresy wysyłać należy do
Seminaryum Polskiego w Detroit, pisząc:

Office of
„NIEDZIELA”
DETROIT, MICH
POLISH SEMINARY.

Piszcie, o ile można, czytelnie.

Łaskawego pośrednictwa w odbieraniu przedpłaty na „Niedzielę” podjęli się następujący panowie:

W Detroit, (Mich.)	Pan	WŁADYSŁAW MAIOR, 781 St. Aubin Ave.
„ „	„	JAN LEMKE, 823 St. Aubin Ave.
„ „	„	J. PIOTROWSKI, 302 Canfield Ave. E.
„ „	„	MICHAŁ PRANGA, 101 St. Joseph St.
„ „	„	Wojciech Siwa, 724 Riopelle St.
Milwaukee, Wis.	Pan	M. Szarzynski, 414 Mitchell Ave.
E. Saginaw, Mich.	„	Ignacy Poplewski.
„ „	„	Franc Mordec, Perkins str.
Elmira N. Y.	„	M. Budzikowski, 266 W. Hudson St.
W Lemont, (Ill.)	Pan	PIOTR MADAY.
Chicago, Ill.	Pan	Adam Majewski, 664 Noble str.
Cleveland, Ohio	„	J. Malkowski, Woodland Cemetery Office.
W South Bend, Ind.	Pan	Michał Duszyński, 1501 Fisher St.
„ Posen, Mich.	„	Albert Klimaszewski.
„ Baltimore, Md.	„	I. K. Zanto, 817 S. Ann Str.
W Buffalo, New York	Pan	A. Nowak, 1210 i 1212 Broadway st.

☞ Ktoby życzył sobie w innych Stanach i Miastach podjąć się łaskawego pośrednictwa i bratniej usługi w tym względzie — niech raczy zgłosić się do Redakcyi listownie:



Seminaryum Polskie w Detroit.

NIEDZIELA

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA LUDU POLSKIEGO W AMERYCE.

Nr. 11. DETROIT, MICH., 15-go LISTOPADA 1891 ROKU. ROK 1.

Redaktor. Ks. Dr. Mieczysław Barabasz.

KALENDARZYK TYGODNIOWY.

15	Listopa.	N.	Giertrudy Panny
16	„	P.	Stanisława Kostki
17	„	W	Salomei Panny
18	„	S.	Poświęc. Bazyliki
19	„	C.	Elżbiety Wdowy
20	„	P.	Feliksa de Val.
21	„	S.	Ofiarowanie P. M

Listy i przedpłatę

WYSYLAĆ NALEŻY POD ADRESEM:

The Polish Weekly

„NIEDZIELA”
DETROIT, MICH.

POLISH SEMINARY,

Cor. St. Aubin and Garfield Ave's.

PRZEDPŁATA WYNOŚI:

W Stanach Zjedn.

Rocznie Pólr. Kwart.

\$ 2.00 \$ 1.00 50 c.

W Austrii. 5 złr. 2.50złr. 1.25.

W Niemczech. 10 mk. 5 mk. 2.50



DANIEL I DAWID.

Z SIEWÓW NIEDZIELNYCH.

Kiedy mamy pożytek z kazania?

Stary Michał idąc z Jakóbem po nabożeństwie kościelnem do domu, wszczął z nim rozmowę temi słowy:

— Doprawdy to już i gniewać człowieka zaczyna, jak ci ludzie słuchają kazania w kościele!... Ten stoi i patrzy, ale nic nie widzi, słucha, ale nic nie słyszy; ów wzdycha, ale nie wie, dla czego to robi; inny ziewa, przymruża oczy, aż się powoli i zdrzemie, a ocknie się dopiero wtedy, gdy się ludzie poruszają, lub dzwonek zadzwoni... I jakaż ztąd dla nich korzyść? Żadna. I nie dziwota też, że nie ma u nich poprawy i lepszego życia, bo z kazania nie odniosą pożytku, w domu nad niezem się nie zastanowią i książek nie czytają, przecoby nabierali rozumu i potrzebnej nauki do życia cnotliwego i dla bliźnich pożytecznego. A spytaj ich o tem, co słyszeli w kazaniu, to ci ani ruszą ustami:

— A jakże to trzeba słuchać kazania, żeby z niego odnieść pożytek? jak się wyrażacie, — zapytał Jakób.

Na to powie Michał:

— Zaraz wam to jasno wyłożę, żebyście słowa moje wzięli i do głowy i do serca, bo i wam może przydadzą się moje uwagi. Kazanie jest słowem bożem, a nie bagatelą żadną, jak je niektórzy ciemni ludzie uważają. Pismo święte mówi, że słowo boże jest jakby młotem, który zdruzgotać skały potrafi, jest światłem, albo mieczem, ale cóż z tego, kiedy niestety bywa głoszone, a nie staje się dla ludzi ożywcą, rosą i kosztownym deszczem, któreby rolę duszy odwilżały i użyźniały! A przecież mogłoby ono stokrotnie przynieść owoce, jak tego uczy doświadczenie i rozmaite pisma. Dla tego ważnem jest pytanie, jak sobie począć mamy, ażeby kazanie czyli słowo Boże, w świętem miejscu wypowiedziane, przyniosło nam prawdziwą korzyść.

— Cóż więc trzeba robić najprzód? — pytał Jakób.

— Najprzód trzeba wiedzieć—mówił Michał—co należy robić przed kazaniem? Owoż podobnie jak rolę, którą obsiewać mamy, pierwaj dobrze oczyścić i uprawić musimy, powinniśmy także nasze serce oczyścić pierwaj z wszelkich niecznych pożądlivosti i próżnych myśli, zanim zabierzemy się do słuchania słowa bożego. Dlatego powinniśmy najprzód prosić Boga gorąco o oświecenie. Modlitwa taka będzie jakby użyźniająca rosą nasze dusze. Dalej wypada nam usunąć z głów naszych wszystkie niepotrzebne a niepokojące nas myśli, zapomnieć o wszelkich troskach i zmartwieniach, ażeby słowo Boże nie padło między ciernie i osty.

— A to ładnie rzecz bierzecie! — przemówił Jakób—A cóż trzeba robić podczas kazania?...

— Podczas kazania trzeba słuchać uważnie i z zastanowieniem—odpowiedział Michał.—A mówi święty Chryzostom: Gdy słuchamy rozkazu króla, który go nam ogłasza, z uszanowaniem i pokorą, o ileż to pokorniej i o ile z większą uwagą powinniśmy słuchać słowa Bożego!... A choćby kapłan nie zbyt potoczył-

cie się wyrażał to przecież słowa, które wygłasza, są szacowne i ważne. Wszakże i przy sianiu uważamy więcej na ziarna i właściwości roli, niż na sposób siana i rzucania ziarna... Ale słów w kazaniu słyszanych nie trzeba stosować do drugich ludzi, ale do siebie, zastanawiać się nad tem, jak się z wad naszych oczyścić mamy, bo za nie, nie innych, ale nas złe spotkać może. Każdy niech się o siebie troszczy; niech na siebie zwraca uwagę, siebie poznaje i poprawia, a pewnie będzie mu lepiej. Kto lepiej pozna siebie, będzie lepiej mógł osądzać drugich. Ale w oku czyjem widzieć drzazgę, a w swoim nie widzieć belki—to prawdziwa zarozumiałość albo zaślepienie. A chcąc mieć pewny z kazania pożytek, trzeba się starać o okazywanie tego w uczynkach, co się dobrego słyszało w kazaniu. Nie tylko robić sobie przyrzeczenia, ale święcie robić tak, jak w kazaniu polecano. Albowiem ci, którzy słuchają słowa Bożego, ale go nie wykonywują w życiu, są podobni do tego, który swą twarz ogląda w zwierciadle, a potem odchodzi i zapomina, jak wyglądał. Dla tego należy wszystko dobre zachować w pamięci, często sobie przypominać i pilnie o tem rozmyślać, aby oddalić okoliczności niesprzyjające chęciom wykonywania dobrych uczynków i polepszenia spraw swoich w życiu. Chrystus mówi wyraźnie: Nie ci zbawieni będą, którzy słuchają słowa Bożego, ale ci, którzy je zatrzymują.

Przytem trzeba się starać o towarzystwo cnotliwych i pobożnych ludzi, by z nimi prowadzić pogadanki, bo od nich dowiedzieć się można, jak mamy postępować w życiu i jak słowo Boże do niego zastosowywać wypada. A wtedy ilużby to uniknęło się rozmów nieprzyzwoitych, bezecznych, prowadzących do zepsucia, którego dzisiaj tak wiele pomiędzy ludźmi!...

— Oj prawdę mówicie, kochany Michale! — powiedział Jakób—bo dzisiaj gdzie wstąpić wszędzie obmowa, plotki i szyderstwo. Rodzice nie zważają, że przy nich są dzieci, jeno rozpasują swe języki, prowadzą bluźniercze rozmowy i jadem trującym zapuszczają niewinne serca... Dla tego dzisiaj tyle złego! Lada dziećak wszystko lekceważy; nie uczi starszego, bo nie ma dla niego nic świętego, nic drogiego, bo serce nie jest mieszkaniem Boga, jeno złych chuci i pożądlivosti. I coraz będzie gorzej, a ludzie powiedzą: Złe na świecie, okropności się dzieją, a kto winien? Oni sami. Psują siebie, psują i młodych, którzy świata nie poprawią.

Na to odrzekł Michał:

— Macie rację, ani słowa! Jeżeli więc ludzie będą należycie słuchali słowa Bożego, będzie ono pewnie dla nich użyźniająca rosą, która przyczyni się do wydania obfitych a błogich owoców dla tego i przyszłego życia. Będzie więcej bogobojności, pracowitości i miłości bliźniego między ludźmi; ogrzeje ich ciepło serdeczne, którego dzisiaj ze świecą w dniu jasnym szukać trzeba po naszych chatach!...

W tem stanęli przed chatą Michała. Jakób wstąpił na chwilę do starego, pogadał z nim trochę, a potem zbudowany odszedł do swej chaty.

NA WEZEL OJCZYSTY.

Do Francuzów.

Bacność Francuzi! W Wilnie Moskale
Stawiają pomnik dla Murawiewa—
Posypcie franki! tu nie ma „ale”
Bo Car się jeszcze na was pogniewa.
Najprzód — Carnocie, wnuku Carnota,
Wszak w waszym rodzie dziedziczna cnota,
A dziś w Paryżu Moskal jest modny—
Pokaż żeś dziada twojego godny.

On dla obrony wolności świata
Wystawiał armie, a Cary drżały —
Ty dla uczczenia wolności kata*)

Pomożesz stawić pomnik wspaniały.

Z takiego wnuka dziad będzie dumny,
Gdy mu przyniosą wieść tę do trumny,
Tylko się nie bój, że starzec hardy
Okaże tobie wyraz pogardy.

Pozbądź się wstydu! Minęły czasy,
Gdy bił Moskale Polak z Francuzem,
Kiedy za wolność toczył zapasy,
Lecz się przed ruskim nie kłaniał tuzem.

Początek tylko będziesz miał trudny—
Niech cię nie straszy ten Floquet nudny
I niech nie woła: „Polska niech żyje!”
W Francji już dla nas serce nie bije.
Wyrzutów żadnych nie doznasz za to,
A order pewny i carska łaska,
A może nawet, gdy przyjdzie lato
W Paryż zawita z Carem kolaska.
I znowu lud ten, co króle tracił,
A wył jak zwierze, gdy spadła głowa—
Despocie będzie okrzykiem płacił:
„Wiwat! Niech żyje—Car i Carowa!”

W Rosyi, jak słyhać, podłych za mało,
By cześć okazać dla Wieszatiela —
Francuz ich liczbę niech mnoży śmiało
I niechaj składek w pomoc udziela.

Republikanie niech dobrowolnie
Złączą się dzisiaj z pierwszym despota,
Zdobytą kraju wolność mozolnie
Bezmyślnie w carski rydwan niech wplotą.

Francuz wolnością przywykł handlować;
Zdobyć ją umie—ale zachować,
(Gdy Sedan serca odebrał siły,
Kłęski go dotąd nie nauczyły.

Do czci półbogów—Francuz przywykły—
Odkąd królewskie bandery znikły—
Czczył Robespiera i czczył Cezary
I Boulangery, a dzisiaj...Cary!!

*)Murawiewa.

Ale Nemezis już niedaleka
I z was niejeden jeszcze doczeka,
Że Polak w o l n y —nie długo może,
Na Francji karku ujrzy obrożę!!

J. Iłowiecki.

Detroit, Listopad, 1891.

KOSCIUSZKOWSKIE CZASY

Ciąg dalszy.

III.

Początek powstania.

Nad ranem dnia 4 kwietnia ryknęły wielkie moskiewskie armaty, siejąc śmierć i zniszczenie wśród szczupłego zastępu wojsk polskich—naszych armatek strzały nie dochodziły do szeregów wojska nieprzyjacielskiego.

Moskale stali w silnej, prawie nieprzystępnej wysoczyźnie, zakryci lasem, podszytym gęstymi krzewy. Wojsko polskie stanęło naprzeciw, przedzielone głębokim parowem, na trzech wzgórzach. W środku stanęli kosynierzy i batalion regularnej piechoty, a na lewo dwie kompanie piechoty i trochę celnych strzelców.

Przez dwie godziny wojska te rozdzielone parowami patrzyły przeciwko sobie, jedynie grały armaty, nie robiąc wielkiej krzywdy. Około godziny trzeciej po południu zniecierpliwieni Moskale spuścili się z wyżyn. Kościuszko udał, że się cofa i tem wywiódł w pole Tormansowa.

Zawrzał bój na całej linii. Najmniej bronione prawe skrzydło, pod dowództwem generała Zajączka, nie mogło prawie wytrzymać śmiałego natarcia Moskali. Widzi to generał Madaliński; spieszy na czele konnicy Zajączkowi na pomoc. — Trzy razy zwarły się szeregi wojsk polskich z rosyjskimi, trzy razy musieli się cofnąć Polacy. Lecz kiedy dano znak trąbką wojenną do czwartego starcia, Moskale, co dotąd odważnie szli naprzód, cofają się teraz w spiesznej ucieczce, w popłochu opuszczają plac bitwy,—a dla czego? wytłómaczę wam zaraz. Otóż ten sam Kapusta, któregośmy poznali w pierwszym rozdziale naszej powieści, usłyszawszy z dala huk armatnich strzałów, wy dobył ukryte kosy, a zwoławszy wszystkich będących w pobliżu flisaków powiedział im: „Słyszycie huk dział? — to nasi biją się z Moskalami. — Biermy te kosy, co mamy przygotowane i chodźmy bronić naszych braci. Kto za tem, kto ze mną, niechaj kosę bierze w rękę!”

W mgnieniu oka rozebrano kosy i wśród głośnego okrzyku ruszyli oryle w stronę, skąd dochodził odgłos dział i strzelb.

Moskale, stając przeciw naszemu prawemu skrzydłu i widząc zachodzących im z tyłu kosynierów (a nie mogąc ich obliczyć) dali drapaka.—Tak się Jan Kapusta sprawił z kosami, do których zabrania i oprza-

wy nakłonił go dzielny Bartosz Głowacki.

Równocześnie, a może o jakie dziesięć minut rychlej, Moskale całą siłą natarli na środek wojska naszego. Była to stanowcza chwila. Kościuszko staje na czele kosynierów, rozpina swoją białą sukmanę i woła: „Chłopczy naprzód! wzięść mi te armaty!”

Dał ostrogi koniowi i sam na czele rznie na moskiewskie armaty—a tuż za nim, bo koń galopujący nie szedł prędzej, nasi kosynierzy. Na przedzie naczelnik a zaraz za nim zdyszani Bartosz Głowacki, Świstacki i nasz Kubuś Sierota.

Trzeba wam było widzieć w tej chwili Kubę, jak się rozmachiwał kosą, a za każdym cięciem, gdy padł Moskal, powtarzał: „Baśka, to pierwszy—Baśka, to drugi—tak jak tobie moja Basineczku przysięgłem, najmniej dziesięciu Mochów ci zatłukę.”

Przez sukmanę pot lał się a nasz Kuba nie ustawał w pracy. Już dwa razy był lekko rannym i krew się lała i z czoła i z piersi, ale dopóki sił starczyło, siekł kosą Moskali, jakoby wśród żniwa kłosa.

Na widok kós najeżonych zatrzymuje się piechota moskiewska, ale artylerya sypie ogień kartaczami. Wszakże kosynierzy dwóch tylko strzałów jej dozwolili, bo uniesieni zapalem na głos wodza wpadają na wroga, łamią szeregi i zmiatają kosami strzegących armat Moskali. Kosynierzy dzielnie się spisali, a szczególnie Bartłomiej Głowacki i Stach Świstacki dokazywali cudów waleczności. O tym Głowackim opowiadają, że choć kule padały jak grad, on pierwszym był przy armatach, a odciawszy rękę Moskalowi,



Pomnik ks. Augustyna Kordeckiego w Częstochowie.

wi, który właśnie lontem chciał zapalić nabój, przykrył panewkę swoją krakuską.

Moskale, widząc tę zajadłość kosynierów, struchleli z przestachu—przeszło 600 z nich rzuciło broń i poddało się; reszta uciekła, pozostawiwszy na placu boju dwanaście armat z całą amunicją.

Nasz poeta, sławny Teofil Lenartowicz, tak opisuje tę chwilę:

Komu Pan Bóg błogosławi,
Temu się i wiedzie,
Idzie sobie Stach Świstacki,
A Głowacki jedzie.
Jedzie, jedzie na armacie,
Na smoku mosiężnym,
Czapką wiewa, a lud śpiewa
Głosem tak potężnym,
Jak na wiosnę się przewala
Fala rozdąsana,
Dana moja, dana, dana—
Ojczyzno kochana.
I stanęli przed Kościuszką
Krakowiacy śmiali,
Do nóg mu się pokłonili,
Potem zaśpiewali:
Kto za ciebie Matko nasza
Zdrowia pożałuje,
Niech mu tego przy skonaniu
Pan Bóg nie daruje,—
Ojczy miły, Naczelniku,
Przynosimy plony,
Osieć armat na wojenkę,
A cztery na dzwony,
Żeby codzień na świat biały,
Brzmiały dzwony z wieży,
Na te wioski, okolice,
Na ten wietrzyk świeży.
I żeby też Panu Bogu
Była za to chwała,
I tej Matce Przenajświętszej,
Co nam s.ł. dodała.

Zmrok począł zapadać, gdy ta zwycięska bitwa się skończyła. Kościuszko dowiadziawszy się o czynie bohaterskim Głowackiego, uściskał go i w nagrodę męstwa zrobił oficerem; naszemu Kubie sam ranę omył czystą wodą, kazał opatrzyć i ucałował w zranione czoło.

Po zwycięskiej bitwie pod Raclawicami, udał się Kościuszko do Krakowa, gdzie obecność jego tem więcej potrzebną była, im większe zagrażało miastu niebezpieczeństwo z powodu posuwających się wojsk pruskich ze strony Śląska, i dokąd nadeszła fałszywa wieść, rozniesiona przez uciekinierów, iż Kościuszko został zabity; obawa pomsty moskiewskiej napełniała cały Kraków. Uczucie, jakiego teraz na wiadomość o zwycięstwie i widok ukochanego wodza doświadczyli Krakowianie trudno opisać.

Wśród bicia dzwonów wszystkich kościołów, wśród wiwatowych okrzyków i huku dział, wchodziło zwycięskie wojsko do Krakowa. Na czele Kościuszko w białej chłopskiej sukmanie, a za nim kosynierzy. W jednym z pierwszych rzędów z obwiązaną głową szedł Kubuś Sierotka. Łagodne jego zwykle oko gorzało chciwym blaskiem, zdawało się, iż prawie iskry padają z tego oka, a silną dłonią niesiona kosa jakoby szukała nowego Moskala. Za chwilę, gdy wspomniął sobie uroczą Baśkę, to oko jego lżą zachodziło. Mi-

mowoli przychodził mu na myśl Jaśko Owczarek. Może teraz nakłonił Baškę ku sobie,—może złamała dane słowo i woli bogacza?!

Myśl o Basi nie dawała mu spokojności. Przed oczyma, czy na jawie, czy we śnie, miał zawsze albo Baškę, albo Janka Owczarczaka, albo też jakiego moskiewskiego żołdaka, którego jej w ofierze zabijał.

Były to tylko przewidzenia Kuby, bo chociaż Janek w kilka tygodni rozpoczął na nowo zaglądać w śliczne oczka Basi, chociaż jej przysłał swatów, to Basia wierna raz danemu słowu nie przyjęła swatów. Dziewczęta chciały ją namówić, by takim bogaczowi jak Jaśko Owczarek nie odmawiała, lecz stanowcza Basia, lubo że stosunkowo znacznie biedniejsza, nie dała się nakłonić. Owszem namawiającym odpowiadała: „Skoró wróci szczęśliwie z wojny, to niech się żeni z którą chce, ale ja Kubie przyrzekłam i wiary mu dotrzymam.”

Z razu śmiały się dziewczęta z reżolutnej odpowiedzi Baški—przekładały jej, iż Jaśko dobrym jest, bo gdyby nie on, to Rzędowiczani byłby arędarz z pomocą wojska pochwycił, lecz ostatecznie umiała je Basia przekonać, że każdy musi swój obowiązek zupełnie wypełnić. „Nie dosyć jest, mówiła Basia, spokojnie się przyglądać co oni robią, ale i samemu ręki trzeba przyłożyć. Gdy dom sąsiada goreje ogniem, nie dość powiedzieć, u mnie jest wody dostatek, lecz trzeba samemu wodę znosić, ogień zalewać. Zresztą Kubie będę wierną, i na tem koniec.”

Drwiły z niej dziewczęta, że Kubuś nie wróci, a jeżeli to chyba kaleką; lecz mowy te nic nie pomogły. Przeciwnie.—Basia z razu wyśmiewana, zyskiwała swoją stałością coraz większe koło zwolenniczek — nieomal wszystkie dziewczęta patrzyły się na Baškę, jakby na jaką królową, wszystko by dla niej były rade zrobić, a zgniewać Janka. To też pewnego wieczora przybiły Jankowi na drzwiach jego domu skórkę zajęczą, pęk przedziwa i wiązkę konopi i to bez wiedzy Basi.

Z rana Jaśko zobaczył, iż ktoś go obdarował oznaką tchórzostwa, to jest skórką zajęczą; że go przeznaczył do babinca, dając pęk przedziwa i wreszcie pozostawił małą wiązkę konopi, by może z nich skrzył dla siebie powrót do powieszenia.

Dumny bogacz struchlał, zobaczywszy to — nie śmiał zrzucić tych znaków ohydy ze drzwi, wrócił do izby. Chciał płakać, lecz łez nie stało, tak wielką była boleść w skutek obrażonej dumy — lecz kogoż winić? —jedna tylko harda Baška mogła była to zrobić!

Szalony gniewem i chęcią zemsty, wybiegł gdzie stała Basina chata. Szczęściem nie było jej w domu, ona w polu z innymi dziewczętami już przy robocie. Zdyszany, z okiem rozpalonem złością pobiegł na pole.—Zobaczywszy Basię, rzucił się na nią, zaledwie dwa razy ją uderzył, gdy go pochwycił za kołnierz ekonom i począł okładać bizunem.

Śmiały się dziewczęta i cieszyły, jedna Baška broniła go, chyląc się do nóg ekonomu, a wstrzymując mu ręce.

Dobre to było dziewczę. Chociaż nie lubiła Janka, chociaż nie przyjęła jego swatów, chociaż była wierną Kubusiowi, chociaż ją Janek poterał, to jednak darowała własną krzywdę, a broniła bliźniego.

Później dopiero, gdy Jaśko, wyzwolony za jej pomocą, uwolnił się z żelaznej ręki ekonomu i dał drapak, dowiedziała się o figlu dziewcząt. Śmiała się razem z nimi z tego wypadku, chociaż bolały ją dwa sińce od uderzenia Jaśkowego.

Dłużej nie mógł teraz wytrzymać Jaśko w swym domu. Zrzucił po powrocie te ohydne oznaki, ukląkł przed obrazem Najświętszej Panny i płacząc, błagał tę Przczystą Orędowniczkę naszą, by go oświeciła co ma robić, by mu męstwa dodała.

Modlitwa była szczerą, gorącą; Matka Boża takie modły zawsze wysłucha. Przeszło godzinę lejąc łzy wiasne, korzył się Janek przed tą Opiekunką naszą. Zmęczony, zbiedniały, wstał od modlitwy, ale uczuł się naraz pocieszonym, odmienionym.

Nie mówiąc wiele, wyprowadził ze stajni konika, ucałował ręce i nogi swej starej matce, mówiąc: „Matko, zostawiam waszej pieczy chudobę—tam pójde, gdzie są nasi—teraz się nie lękam kul moskiewskich.”

Stara Owczarkowa zdziwiła się tak nagle postanowieniem syna—radaby była zatrzymać jedynaka, lecz ucieszona, że syn jej nie gorszy od innych, rozplakała się tylko i błogosławiła.

Ciąg dalszy nastąpi.



O ŻŁOTYCH TŁACH.

PRZED OBRAZEM.

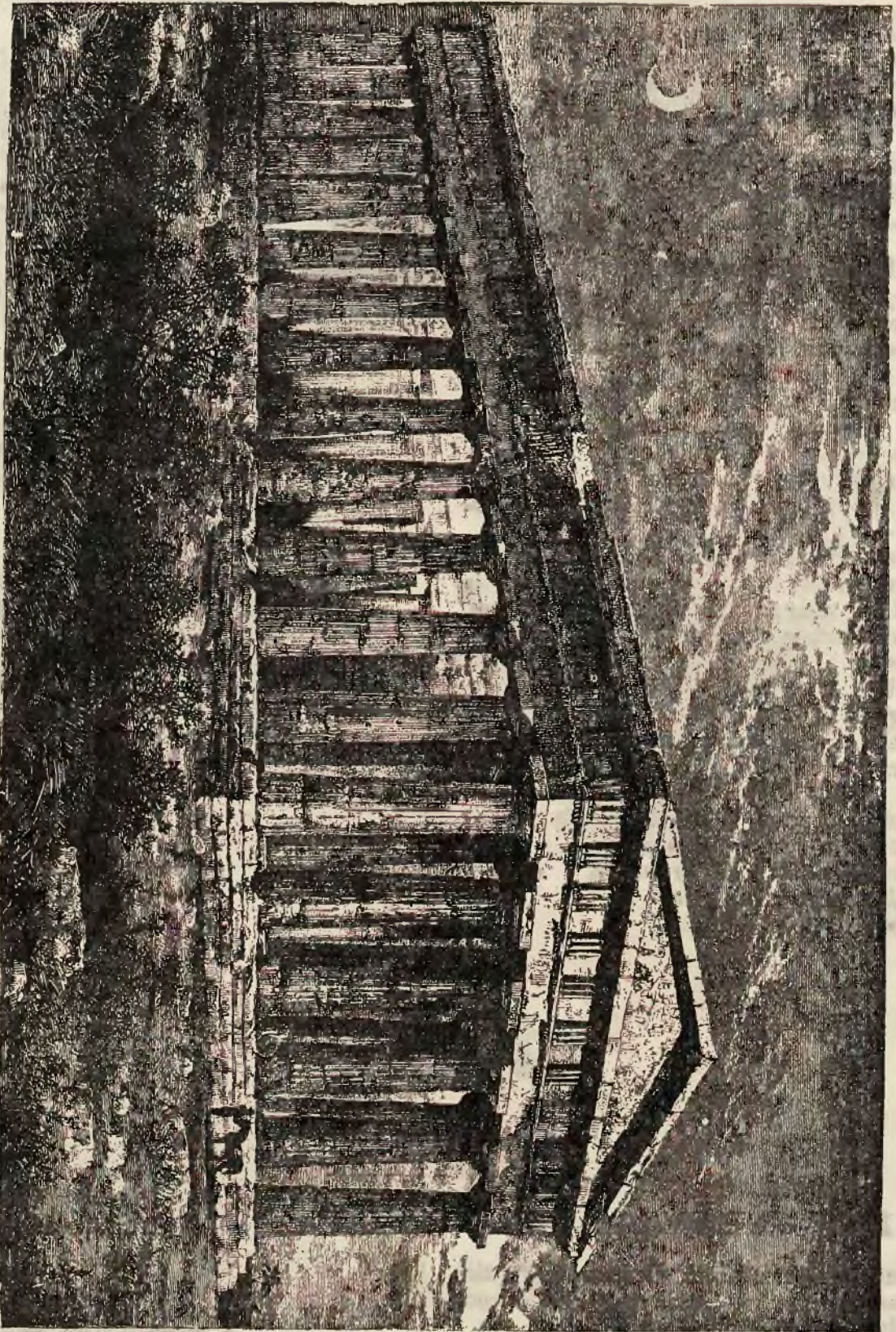
Słońce dawno już zaszło; noc ciemna okryła ziemię. Tomaszowa, powoli kołysząc małą Zosię, nuciła półgłosem jedną ze znanych piosenek:

„Śpij dziecinko już,
Śliczne oczki zmróz,
Słyszysz: deszczyk pada tam,
Piesek szczeka, grozi nam,
W bramie dziad wyciąga rękę;
Pies rozerwał mu sukienkę,
Aż biedaka broni stróż,
Śpij dziecinko już!”...

Zosia na dobre nie zasnęła jeszcze, bo raz po raz otwierała oczy — Tomaszowa dalej ciągnęła ulubioną piosenkę:

„Spil buziaczku z róż:—
Dziadek poszedł już,
A gołabek siadł przed sien—
Szukał ziarenek cały dzień.
W gniazdku pyta się gromadka:
Gdzie tak długo nasza matka;
Spiących strzeże anioł stróż—
Spil buziaczku z róż”....

W końcu, dziecko ukołysane śpiewem matki, zasnęło. Tomaszowa teraz odetchnęła swobodniej: kilka bowiem już nocy spędziła prawie bezsenne przy



ŚWIĄTYNIA PRZY PRESTUM.



MĘCZENNICY GORKOMSCY.

córcie i teraz jeszcze pomimo, że dziecko spało, klęczała pochylona nad kolebką—pograżona w myślach. Na dworze panował taki spokój, że nawet liść nie ruszył się na drzewie. Księżyc majestatycznie wypłynął na niebios przestrzenie i, patrząc zapadłymi oczyma ciekawie, zaglądał do izby Tomaszowej i oświecał kolebkę, a w niej uspioną Zosię. Ślicznie ona też wyglądała w tej chwili. Jej twarzyczka o drobnych rysach i delikatnej cerze przybladłej trochę pod wpływem choroby, wyglądała przy blasku księżyca jakby przezroczysta — główka ubrana w złociste kędziorki i rączki złożone na piersi, czyniły Zosię podobną cherubinkowi, który frunął z wielkiego ołtarza w kościele, by tu spojrzeć na białej i miękkiej poduszce. Tomaszowa w zachwyceniu wpatrywała się w swój obraz, w swoje kochanie i nieraz aż oddech w piersi wstrzymywała, by pochwycić i najłabsze nawet zipnięcie, uspionej, wątlej dzieciny. A choć z lubością i rozkoszą serca macierzyńskiego patrzyła na córeczkę swoją, jednak w głębi jej duszy kryła się jakaś trwoga i niepewność — dlatego też była tak zadumana. Dawniej Zosia, nakarmiona i ukołysana, spokojnie przespala całą noc do białutkiego ranka—teraz zdarzało się, że przez sen zapłakała nieraz. Tomaszowa, słysząc płacz córki, rzucała choćby i najpilniejszą robotę lub w nocy zrywała się ze snu i biegła do kolebki, pytając czule: „Co ci to aniołku — czego ty tak płaczesz— Ach Boże!—tyś chore, moje dziecko, i nawet powiedzieć nie umiesz, co ci dolega, co cię boli.” Zosia otwierała błękitne i łzami operlone oczki i tak miłosiernie na matkę patrzyła, jakby niemi przemówić chciała, a gdy jeszcze płaczem poczęła się skarżyć na swoje boleści — Tomaszowej wówczas nie oczy, ale samo serce płakało; więc wymowała z kolebki i tuliła do siebie, to znów kładła i śpiewała tak długo, aż znów dziecko usnęło. Dziś Zosia, czy więcej znużona czy też jej boleści na chwilę ustąpiły, w głęboki sen zapadła. Tomaszowej aż serce rosło z radości na samą myśl tylko, że dziecko zdrowsze i śpi spokojnie; mając więc chwilę wolną, pograżała się w zadumę. Lecz któż zdoła objąć uczucia macierzyńskiego serca i poścignąć bieg myśli strapionej niedawno matki, której nagle błysła nadzieja, że zdrowem jeszcze będzie jedyne jej dziecko. Snuła myśli, układała plany, malując w swej duszy różową przyszłość dla swej jedynaczki. Nasuwały się jej własne lata dziecinne, kiedy to pod okiem troskliwej matki, bawiła się z innymi rówieśniczkami—zdało jej się, że ta chwila to rzeczywistość; — potem znów wracała do Zosi — jej los, jej przyszłość były teraz jedynym przedmiotem myśli. Była to przyszłość tak piękna i tyle posiadająca uroku i szczęścia dla matki, że nic już piękniejszego nadto wymyślić by nie mogła. Raz widziała swą Zosię: jak biega o własnej sile, jak czepia się fartucha lub kryje główkę w fałdach sukni — to znów, jak wśród lata na zielonej przed sienią murawie skubie trawkę i wesoło szczebioce: mama mama...

Tomaszowa aż się uśmiechała w duszy—rada, by ta chwila w istocie już dziś nastąpiła. I tak kochająca matka dumiała, marzyła, snując różową i szczęśliwą przyszłość dla córki. Wtem Zosia ruszyła się w kolebce i małym ściągnięciem buzi wykrzywiła usteczka jakby do płaczu. Tomaszowa z niepokojem spojrzała na Zosię i zaśpiewawszy przytłumionym głosem haaa... ha! do dawnych powróciła marzeń. Było już późno w nocy. Na dworze spokój panował i w chacie cisza—przerywana niekiedy lekkim szmerem kołyski lub głośniejszym sapaniem uspionej Zosi.

„Taka pora późna”, —mówiła Tomaszowa do sie-

bie, —, a on nie wraca — czyżby doktora w domu nie zastał? oby tylko nieszczęście jakie go nie spotkało, bo przy jarmarku o to nie trudno.”

W tej chwili zegar uderzył 12. Tomaszowa, myśląc o mężu, czegoś posmutniała i głowę wsparła na rękę. Zapewne przyszły jej na pamięć te lata wesołe, kiedy była panną dorosłą—ludzie ją chwaliли z pracowitości, a młodzież z urody; następnie dumiała o Janku, zaręczynach, ślubie i weselu. Wtem dziecko powtórnie ruszyło się w kolebce. Tomaszowa drgnęła, lecz po chwili uspokoiła się przecie znowu i poczęła myśleć o Zosi. W wyobraźni już ją niby widziała piękną i dorosłą panną — patrzyła nawet jak Zosia, ubrana w bogatą suknię, mając sznur koralu na szyi, klęczyła przed ołtarzem i z trwogą wymawia słowa ślubnej przysięgi. Jednej wszakże trudności rozwiązać sobie nie mogła, to jest wynaleść rzeczywiście człowieka, któremu mogłaby z całą pewnością powierzyć swój skarb drogi, i o kim tylko pomyśleć zdołała, ten wcale jej pragnieniu nie odpowiadał dotychczas.

—, „W każdym razie nie będzie to zwyczajny jakiś człowiek, ale coś nadzwyczajnego” —myślała sobie w duchu Tomaszowa, i nie prędko może skończyłaby tak dumać, gdyby inna rzecz nie była zwróciła jej uwagi w tej chwili. W izbie dawnym zwyczajem przed obrazem Matki Boskiej jarzyła się lampka w każdą sobotę i środę. I dzisiaj od południa oświecała ona obraz Matki Boskiej. Śnać knot się dopalał, czy też oliwy nie stało, bo nagle w lampce poczęło trzeszczeć i skwierczeć, światło mignęło—kilka razy i zgasło. Stało się to tak niespodzianie, że Tomaszowej aż mrowie przeszło; w całej bowiem izbie naraz pociemniało. Czempędzej się zerwała na równe nogi i, wyszukawszy świeży knot, zapaliła lampkę. Obraz Królowej nieba i ziemi o złożonych ramach błyszczał na ścianie i wyraźnie spoglądał na kolebkę. Tomaszowa szczególnie upodobała sobie ten obraz— raz, że był drogą pamiątkę po matce, a krom tego miał taką jeszcze właściwość, że gdziebyś nie stanął w izbie — wszędzie na ciebie patrzył.

Tomaszowej się zdało, że obraz patrzy teraz na nią i, choć samotna, bezpieczniejszą się czuła. Wtem dziecko rzewnie zapłakało w kolebce. —Tomaszowa, nad kołyską pochyliwszy się córki—co chwila zapytywała z bólem w sercu, tkliwie: „co ci to mój aniołku—czemu tak płaczesz dzisiaj... nie płacz już, nie płacz córeczko”—i poczęła kołysać, lulać i śpiewać. Dziecko wciąż płakało; raz przymykało powieki—to znów je otwierało, a Tomaszowa patrząc w te małe oczęta, zalane łzami, czule powtarzała: „co ci mój skarbie, co ci to—cyt, cyt córeczko—cyt cyt—tata przyjedzie z miasta i przywiezie kukiełkę—haaa... ha... haaa... ha...” Cóż bo mogła więcej uczynić stroskana matka? Każdą boleść dziecka dwa razy więcej odczuła i dlatego może tyle cierpiała, że nic mu pomódz nie mogła. Wzięła je potem na ręce i, chodząc po izbie, śpiewała, lulała i tuliła do swego łona, a ono wciąż się skarżyło płaczem, a tak rzewnie, że i Tomaszowej łzy w oczach stanęły.

„Gdybyś mi przynajmniej powiedzieć umiało: co cię boli—moje ty biedactwo—mój ty kwiateczku;—o, ja nieszczęśliwa.” —jęczała biedna kobieta i przyciskając dziecko do piersi już nie chodziła, lecz biegła z kąta w kąt po izbie.

„Jak mi wyzdrowiejesz”—mówiła dalej po chwili —, „pójdę z tobą na ofiarę do Częstochowy, pójdę na koniec świata... Ach, mój Boże, jak ono cierpi—aż się kurczy, biedactwo”... i ciche łkanie głos jej w

gardle stłumiło.

Dziecko wciąż płakało żałośnie, a nawet teraz zaniosło się od płaczu tak dalece że już całkiem zsiniało. Tomaszową rozpacz ogarnęła.

„Gdybym ja wiedziała, że moje życie twoje ocali — że moje serce, posiekane w kawałki, uleczy cię z bolesti — chętniebym oddała je tobie”.

Kończąc, spojrzała na dziecko — ono szybko oddychało, chwytając buzią powietrze — oczy już kołem stawać zaczęły. — Tomaszowa czuła wyraźnie, jak w ręku jej się przeży, sztywnieje, w końcu już niby skostniało. W dzikim szale, jako lwica raniona, rzuciła się w stronę, następnie uklękła przed obrazem Matki Bożej i wlepiwszy weń wzrok, jęczała urywanemi słowy: „Matka Bolejąca Tyś sama pod krzyżem cierpiała — Ty wiesz, Tyś Matką była — ocal mi jedyne dziecko... litości... litości dla mego dziecka”... Potem, tuląc dziecinę gorączkowo do łona — rozpalonemi ustami całowała wykrzywioną buzią jakby tam swoje życie tchnąć chciała, zdrętwiałe ócz powieki roztworzyła swą ręką — pozostały... nieruchome w miejscu; raz jeszcze spojrzała w niebieskie oczy, lecz te, szkląc śmiertelnym blaskiem, bezwiednie patrzyły na matkę.

— „Umarło!!.. — jęknęła w końcu Tomaszowa i w oczach jej pociemniało. Zemdląca... W progu ukazał się właśnie w tej chwili Tomasz a słysząc ostatnie słowo żony „umarła” ryknął potężnym głosem aż się ściany domu zatrzęsły i runął na podłogę, tłukąc flaszki z lekarstwami przywiezione z miasta....

.....

— „Co to?... Boże! gdzie ja jestem.... Sen czy rzeczywistość?... — nawpół ocknięty i żegnając się mówi Tomasz do siebie:

— „Zosia, moja Zosia!”, — jakby z umowy ózwał się w czasie tym samym słaby jęk kobiety.

Tomasz, poznając bolesny głos swej małżonki, na imię Z o s i a drugi raz wyjęknięte, porwał się nagle z miejsca i, oprzytomniony zupełnie, na równe stanął nogi. Całą grozę położenia teraz miał przed oczyma, ale w pierwszej chwili i odczuł to znać za wiele, bo stojąc jak skamieniały, choć przytomny, nie wiedział przecie, co czynić. Nie postąpił kroku. Nareszcie w przystępie równowagi duchowej z wysiłkiem rzuca się naprzód, by przynajmniej żonę ratować i o, dziwo!... na podłodze, tuż obok matki, maleńka Zosia przeciera drobne oczki i porusza rączkami swobodnie.

— „Przesilenie!” — wrzasnął uradowany Tomasz, — „Zosia żyje.”

— „Żyje?... Zosia?” — wykrzyknęła Tomaszowa, zrywając się z podłogi, jakby tknięta ożywczą siłą czarodziejskiej różeczki. Dziecina w tej chwili rzeczywistość przychodziła do siebie, bo grzebiąc na poduszce nóżkami i rozrzucając na strony białe owinięcie, przytomnie już patrzyła niebieskimi oczęty.

— „Cud! cud!” w uniesieniu uszczęśliwiona zawołała matka i, porwawszy Zosię na ręce, długo i czule tuliła ją do siebie, zanim spokojną ułożyła do snu.

Było już po północy. Tomaszowa klęczała jeszcze przed ikoną z mężem — dwa strumienie łez spływały im po twarzy. Lampka błado jarzyła się przed obrazem Matki Boskiej, a obraz patrzył z góry nadół — na to miejsce smutku i radości...

Ks. JAN. z Detroit.

Chrześcijanin i poganin.

Dwaj bracia, Szczepan i Karol, obaj w Niemczech urodzeni i wychowani, popłynęli raz na wyspę Maltę, leżącą na morzu śródziemnym. Na tej wyspie był dawniej zakon kawalerów świętego Jana jerozolimskiego, a zakonnicy od wyspy przez się zamieszkaną nazywali się kawalerami maltańskimi. Dzisiaj należy o na do Anglii.

Ojciec Szczepana i Karola zapisał najmłodszego syna w poczet kawalerów maltańskich, to też, będąc młodzieńcem, miał niczem nieprzewycięzoną ochotę być osobiście na tej wyspie i tam jako rzeczywisty kawaler służyć swemu zakonowi.

Szczepan kochał swego brata tak gorąco, że ani przypuszczać nie chciał, by miał się z nim rozłączyć. Sprzedał więc swoją posiadłość, a zabrawszy z sobą spore mienie, towarzyszył swemu bratu Karolowi na wyspę Maltę, gdzie sobie kupił piękne dobra. I był tu prawdziwie szczęśliwym mężem i ojcem, mając w domu błogi spokój i niezwykły, można powiedzieć raj ziemski. Brat jego Karol pełnił obowiązki zakonu i przez długie czasy walczył przeciw rozbójnikom morskim. Ile razy zaś wrócił z niebezpiecznej walki, w domu Szczepana doznawał pokrzepienia i odpoczynku. Nieraz bywało po przebytych utarczkach morskich, cieszył się z odniesionych zwycięstw i zawsze okazywał wielką nienawiść przeciw niewiernym Muzułmanom i przyrzekał prowadzić z nimi wojnę do zawarcia powiek.

Łagodniejszy Szczepan przekonywał go często, że należy na nich użyć także innej broni, nie zawsze tylko miecza. Tak przeżyli kilka lat na wyspie Malcie. Wtem zwołano wszystkich kawalerów zakonu do ogromnej walki przeciw rozbójnikom morskim, albowiem porwali im kilka okrętów.

Do boju pospieszył i Karol, jednakże nie wrócił już więcej. Rycerze chrześcijańscy odnieśli wprawdzie znaczne korzyści, ale i strat mieli nie mało. Do tych należał okręt, na którym znajdował się Karol.

Naoczni świadkowie, którzy szczęśliwym trafem uszli na małej łódce z rąk rozbójników, twierdzili z pewnością, że okręt zabrano dopiero wtenczas, gdy na nim poległ wszyscy wojujący rycerze, między nimi i Karol. Gdy ta wieść smutna doszła Szczepana, zdawało się, że dotąd tak szczęśliwy mąż i ojciec rozplynie się w łez strumieniu. Karol jednak był przy życiu, ale go czekał go los jeszcze twardszy, niż śmierć sama. Gdy rozbójnicy spostrzegli, że między zabitymi rycerzami na okręcie znajduje się jeden przy życiu, z wielką troskliwością zaopatrzyli mu odniesione rany, by go potem w Algeryi sprzedać jako niewolnika. Był to Karol. Leczenie wypadło pomyślnie. Jego wysoka, silna postać sprowadzała wielu kupców, i cieszone się, że będzie można dręczyć groźnego niegdyś rycerza. Rozbójnik morski nałożył wszakże cenę zbyt wysoką i biedny Karol musiał czekać straszliwie długo, zanim nastąpi jego sprzedaż. Nakoniec zjawił się młody, zamożny Turek, nazwiskiem Cid Mulej.

Zaczął oglądać nieszczęśliwego jeńca, opatrywać jego budowę ciała, podobnie jak to się robi z bydłem na jarmarku, i w końcu zapłacił żadaną, wysoką kwotę.

— Musisz mi tego pracować, ty chrześcijański niewolniku! — powiedział do Karola — bom nie darmo wydał za ciebie tak wielką sumę!...

Było to straszne oświadczenie. Cid Mulej oddał Karola chimerze i grymasom nielitościwego dozorczy,

który pomiatał nim w najokropniejszy sposób i używał go do najcięższych robót.

I któż jest w stanie opisać jego dołę, wypowiedzieć to wszystko, co się działo w jego duszy z powodu obchodzenia się z nim tak niegodziwego? . . . Jego współtowarzysze strasznej niewoli za znaczną kwotę pieniężną otrzymali wolność, dla niego jednak nie było nadziei, albowiem wedle surowych przepisów zakonu nie wolno było wówczas za żadne pieniądze okupić wolności.

Postanowił wprawdzie ze zdaniem się na wolę Opatrzności znosić jarzmo twardego losu i pogardą odpłacać przewagę i okrutność swoich wrogów; odwaga i siły atoli uległy osłabieniu w ciężkiej doli.

Przy pewnej sposobności, gdy właśnie dumny Cid Mulej był obecnym przy pracy niewolników, których rzadko kiedy miał przed obliczem, Karol, pełen rozpaczy, rzucił się mu pod nogi i prosił o skazanie go na śmierć natychmiastową.

— Śmiercią karać cię nie będę! — odparł Mulej — Czy na to cię kupiłem tak drogo? . . . Słyszałem jednak wiele o tobie. Można ci ufać i spuścić się na ciebie w każdym razie. Nawet dozorczy wychwalają cię z pomiędzy moich niewolników. Wczorajszej nocy zabił się z umysłu jeden z moich ogrodników; przychodzę więc teraz, aby jednego z was wybrać na jego miejsce. Ty się mi podobasz, ciebie obieram, będziesz moim ogrodnikiem!

Karol musiał być posłusznym i liczyć się do wybranych ludzi, że nie będzie więcej przepędzał nocy jak ono bydłę z innymi niewolnikami i że nie będzie potrzebował wykonywać ciężkich robót pod batogiem dzikich dozorców, albowiem ci niewolnicy, którzy uprawiali ogrody właściciela, byli pod wyłącznym jego

dozorem i mieli lepsze utrzymanie, aniżeli inni.

Mulej, gorliwy Mahometanin i mądry panek, miał nieraz sposobność do zapuszczenia się w rozmowę z niewolniczymi ogrodnikami. Chodziło mu tutaj o co innego. Rozmaitemi sztuczkami i wymową swoją, a nawet groźbami i obietnicami chciał ich zmusić do przestąpienia na wiarę mahometańską. Niektórych słabych i chwiejnych ludzi udało mu się złowić, którzy dla wykupienia się z niewoli i ulgi swego losu, zaprzędali wiarę i przytępiłi w sobie uczucia święte, by tylko wygodniej żyć w nowej wierze. Widząc, że im z tem będzie lepiej, okupili sobie nędzną wolność i hołdując zwolennikom przybranej wiary, dochodzili nawet do wielkiej zamożności. Karol wzgardził tem wszystkim i nie dał się skłonić do zaparcia się swojej wiary żadną próbą, ani obietnicą.

— Jestem chrześcijańskim rycerzem — odpowiadał zawsze — to też w wierze mojej, jako niewolnik nawet, wytrwam do samej śmierci. Wzięliście mi krzyż z mojej piersi, ale nie wydrzecie go z mojego serca!

A zwracając się do swojego pana, tak mawiał:

— Nie siła, panie mój, wymowy waszej, nie wartość waszej wiary, nie! jedynie tylko okrutność wasza i krwawy bicz waszych dozorców skłonił tych słabych, w cierpieniach niewytrwałych chrześcijan do zaparcia się świętej wiary swojej. Lecz na prawym chrześcijańskim, jak na opoce twardej, rozbijają się wasze niecne zamiary! A jeżeli wątpicie w prawdziwość słów moich, gotów jestem stwierdzić to życiem mojem; chętnie zniosę śmierć najohydniejszą — ale wiary mojej nie porzucę, dopóki tchnie we mnie poczucie człowieka, który jest stworzony na obraz i podobieństwo Boga! . . .

(Dok. nast.)



WIEŚCI ZE ŚWIATA

Duchowieństwo w diecezji chełmińskiej wyśtosowało prośbę do Ks. Biskupa Rednera, by zapytał rządu, czy okólnik ministerjalny w sprawie udzielania języka polskiego w szkołach ludowych odnosi się także do szkół w Prusach Zachodnich. Wielu nauczycieli chce dzieci uczyć po polsku, ale zarząd szkółny opiera się temu, dowodząc, że okólnik wydany został tylko dla szkół Wielkiego Księstwa Poznańskiego.

Zdanie Niemca o stosunkach panujących na Górnym Szląsku. Kiedy Wirchow, słynny lekarz niemiecki, o którego rocznicy urodzin w ostatnim numerze Niedzieli wspominaliśmy, zwiedzał kiedyś Szląsk Górny, by zbadać tam przyczyny tyfusu, opisywał i swoje wrażenia, a wkońcu i swoje uwagi ministrowi. Pisz on: Kazaliście mi badać, skąd powstaje i jakim lekarstwem tyfus da się wyleczyć. Otóż powiadam, że nie potrzeba na to innego środka, jak lepszych rządów, któreby się ludem biednym opiekowały. Lud górnośląski jest ciemnym i zaniebanym, ale w tem nie jego wina, lecz rządu, który zamiast lud pouczać i wychowywać, gwałtem go chce niemieczyć. Posyła on do Szląska nauczycieli, którzy po polsku nie rozumieją i tym każe uczyć polskie dzieci. Czyż świat widział kiedy coś podobnego? Lud górno-

śląski jest bardzo zdolny i pojętny, ale przy takiej nauce bardziej tylko ogłupieć może. Gdy rząd chce temu ludowi dopomóc, niechaj zaprzestanie germanizowania, niech wychowuje go i pielęgnuje jako lud polski. Dajcie mu polskie szkoły, ale czysto polskie, dostarczajcie dobrych książek i pism odpowiednich do ich stopnia oświaty, ułatwiajcie pracę i zarobek, dajcie gminom i powiatom samorząd, nie pozwalajcie krzywdzić nikogo i zaprowadzcie równe prawa dla wszystkich. Niedorzecznem jest, pisze Wirchow, jakoby Szlązacy byli odrębnym szczepem germańskim. Są oni prawdziwymi Polakami, tak z pochodzenia, jak mowy i ze wszystkich zwyczajów; a że są Polakami, przeto jako Polaków uważać i wychowywać ich należy. — Wprawdzie pan Wirchow w czasie „kulturkampf” postępował wbrew temu, co pisze, ale tu prawdę powiedział.

Na stacyi Kohlfurt pod Zgorzelicami na Szląsku wydarzyło się z końcem października straszne nieszczęście. Gdy pociąg pospieszny wrocławsko-berliński wjeżdżał tam na dworzec, zderzył się z pociągiem ciężarowym, wskutek czego wagony I-szej i II-jej klasy wpadły na siebie i odrazu stanęły w płomieniach. Kilkunastu podróżnych poniosło straszną śmierć na miejscu, a kilkudziesięciu ciężko rannych odwieziono do szpitala.

Wiele hałasu narobił w Prusach proces przeciw byłemu tajnemu radcy dworu berlińskiego Mausze. Pan ten trudnił się handlarstwem tytułów; gdy jakiemu bogatemu człowiekowi zachciało się zostać radcą, pan Mausze wyrobił mu za pieniądze tytuł, otrzymywany zazwyczaj przez ludzi, jak wiadomo, tylko zasłużonych. Nadużycie wydało się w ten sposób, że jakiś Thomas, chcąc osiągnąć od gabinetu królewskiego tytuł radcy honorowego, posłał panu Mausze 30 tysięcy marek na cele dobroczynne, a 5 tysięcy jako wynagrodzenie dla niego. Gdy jednak tytułu pożądanego nie otrzymał, żądał zwrotu pieniędzy, które wkońcu po wielkiem naleganiu odebrał z wyjątkiem 5 tysięcy marek. O pozostałą sumę zaskarżył pana Mausze. Wytoczono jemu proces, w ciągu którego wydało się, że i zmarły były minister skarbu Bitter przyjmował pieniądze w tym celu. Pana Mausze skazano na 9 miesięcy więzienia. I jakże lud może mieć zaufanie do urzędników, gdy widzi, taką ich przedajność?

W Kaząńskie j cerkwi w Petersburgu, wystawiono z końcem Października na widok publiczny bochenek chleba, jakim ludność w gubernii sibirskiej żywi się w tych czasach. Cały Petersburg oglądał ten okaz podobny do niekształtnej bryły czarnej ziemi. Główną częścią składową bochenka jest zielsko „gęsią stopą” zwane; nie posiada ono wcale części pożywnych, a przeciwnie zdrowiu jeszcze szkodzi. Zresztą składa się ten chleb z otrębów, łupin owocowych i innych odpadków roślinnych. Schnie nadzwyczaj szybko, poczem pleśnieje, tak, że bez odrazy nań patrzeć nie można—a cóż dopiero jeść. Nic zatem dziwnego, że w wielu okolicach, głodem nawiedzonych panuje teraz tyfus i inne choroby, zabierające tysiące ofiar. Do rządu rosyjskiego wchodzi liczne podania mieszkańców wsi i miast z prośbą o zniesienie podatków i o zapomogę.

Sekta „Skaczących.” Dzienniki podają ciekawe szczegóły o jednej z licznych sekt, zamieszkujących obwód karski w Azji. Kapłani sekty „skaczących” twierdzą, że Duch św. może się udzielić ludziom tylko podczas skakania i śpiewania modlitw, oraz, że tylko takie modły są miłemi Bogu. Stąd też każdy należący do sekty skacze, o ile tylko może, podczas nabożeństwa. Głównym kierownikiem praktyk religijnych jest „prorok,” wybierany z ludzi młodych i silnych, by mógł tańczyć i skakać bez trudu. Do pomocy „prorokowi” wybiera się dwie, lub trzy „prorokinie.” W czasie uroczystości „prorok” wzywa do modłów za braci i siostry, którzy nie poznali prawdy istotnej i nie stali się członkami sekty. Tu cały tłum pada na ziemię i płacze rozpaczliwie. Kobiety często nie płaczą, lecz udają tylko, uciekając się do takich środków, jak nacieranie oczu cebulą. Dalej, z liczby obecnych na modłach, ktoś podchodzi do proroka, kłania mu się, całuje go i staje obok; to samo czynią i inni, a stają w ten sposób, żeby każdy mógł się kłaniać wszystkim i całować się ze wszystkimi, nie wyłączając kobiet i dzieci. Oto obraz nabożeństwa „skaczących.” — Ale nie potrzeba szukać Azji, bo i w Ameryce mamy wiele sekt i śmiesznych ich religijnych obrządków; nie pocieszam że to n. p., gdy kobieta, twierdząc, że jest natchnioną przez Ducha św., wstępuje na beczkę i prawi androny ludziom gapiącym się i w pokorze ducha kiwającym głowami!?

W kolonii Czechogradzie, w Krymie, na po-

łudniu Rosy, Czesi licznie tam przebywający, wzniesli wspinały kościół, a na wysokich wieżach umieścili dzwony. Nie podobało się to Moskalom i wkrótce nakazano znieść wieże, aby katolicka świątynia wspinałością nie przechodziła schizmatycznej cerkwi.

No w e prześladowanie Religii Katolickiej i narodowości polskiej. Pod rządem rosyjskim służbie kolejowej zabroniono pod wielką karą mówić po polsku nie tylko z pasażerami, ale nawet i po za służbą. Oprócz tego zabroniono proboszczom gromadzić dzieci na naukę katechizmu i do przygotowania do spowiedzi.—Barbarzyńskie to rozporządzenie podajemy w oryginale jak je rozesłał naczelnik powiatu Zamojskiego.

Cyrkularz naczelnika powiatu zamojskiego pod l. 159 brzmi:

16 października 1890.

Do proboszczów parafij rzymsko-katolickich w powiecie zamojskim. L. 12097. Oddział policyjny.

P. Naczelnik gubernii lubelskiej, rozporządzeniem z dnia 28 września za l. 5784, podał do wiadomości, iż w skutek raportu, przesłanego jego ekscelencji generał-gubernatorowi warszawskiemu o tem, że jeden z proboszczów parafii rzymsko-katolickiej, w powiecie pieczy mej powierzonym, zbiera dzieci do kościoła, celem nauczania modlitw i przygotowania do spowiedzi, otrzymał wyjaśnienie treści następującej:

Jego ekscelencya, upatrując w czynnościach rzeczzonego księdza naruszenie okólnikowych rozporządzeń byłych generał-gubernatorów: z d. 3 sierpnia r. 1876 l. 1.343, z d. 26 kwietnia r. 1883 l. 523, na podstawie których duchowieństwu rzymsko-katolickiemu pod żadnym względem lub pozorem nie pozwala się zbierać dzieci dla nauczania modlitw lub katechizmu, postanowił nałożyć na księdza, za wyżej wymienione przestępstwo, grzywnę w wysokości 50 rubli.

Podając wyżej wymioniony wypadek do wiadomości, mam zaszczyt prosić proboszczów rzymsko-katolickich, aby w przyszłości nie zbierali dzieci do kościoła, celem nauczania czegośkolwiek bądź, nie wyjmując nauki religii, i ostrzedz zawczasu, że wszelkie zbieranie dzieci w celu wymienionym pociągnę za sobą surową odpowiedzialność ze strony winnych.

Z rozporządzenia naczelnika Sukotina.

Za naczelnika powiatu pomocnik:

(pod.) Hryniewicz.

Naczelnik kancel. (podpis nieczytelny).

Fracuski minister próbował, o władnąć biskupami, by to czynili, co rząd im nakaże. Z okazji zejść z pielgrzymami w Rzymie, wystosował minister pismo do biskupów, w którym oświadcza, że nie życzy sobie, by biskupi do Rzymu jeździli, albo zezwalali na pielgrzymki w przyszłości. Ponieważ pan minister wdał się nie w swoje sprawy, słusznie też dostał od biskupów odpowiedź, na jaką zasłużył. „Nie potrzebujemy tego rodzaju rozporządzenia obecnie, a wypraszamy na przyszłość. Minister nie ma prawa dawać nam przepisów, wkraczających we władzę biskupią; sami wiemy, co czynić mamy.” Słusznie odpowiedzieli biskupi, a francuscy katolicy cieszą się, że mają naczelników kościoła, co się nie gną podług rządowego wiatru, ale czynią to, co dla dobra Kościoła św. za dobre uznają. I w prasie francuskiej polityka ministerstwa nie znajduje poklasku; wiele gazet jawnie ją potępia oświadczając, że prześladowanie biskupów nie ma żadnej racjonalnej podstawy.

Pa r y s k i dziennik „Le Martin” z dnia 8 listopada ogłasza list Crispiego pisany do pana M. Desmaret's z propozycją ażeby Francya przyłączyła się do trójprzymierza, a za to zwrócone jej będą Alzacya i Lotaryngia. Propozycję swoją opiera na konieczności zachowania pokoju w Europie, który tym tylko sposobem dałby się utrzymać. Pytanie zachodzi czy pan Crispi proponuje to sam od siebie, czy na mocy porozumienia się z niemcami.

W R z y m i e znajdują się burzyciele i intryganci, którzy wszelkich dokładają starań, aby zmusić Ojca św. do opuszczenia Rzymu. Ojciec św. odpowiedział, że dopóki go z Rzymu przemocą nie wydadzą, tak długo sam nie ustąpi.

W bieżącym miesiącu Ojciec św. zamierza wliczyć do rzędu błogosławionych kilku świętobliwych wyznawców wiary naszej, którzy za życia odznaczali się niezwykle cnotami i przyświecali bliżnim poświęceniem i pobożnością. Pomiędzy innemi zaliczoną ma być w poczet błogosławionych Marya Krystyna Sabaudzka, matka króla neapolitańskiego Franciszka IIgo. Dziś już czynią w Watykanie wielkie przygotowania do tej niezwyklej a tak podniosłej uroczystości.

W i c h r y morskie spędziły z własnej drogi okręt żaglowy „Ellen”; długo błąkał się on po pełnym morzu, a dla braku żywności 9 majtków zmarło straszną śmiercią i tylko tylko jeden, już prawie dogorywający, ocalał.

W S z w e c y i obchodzono we wszystkich kościołach katolickich w dniu 6go października pięćsetną rocznicę dnia, w którym Birgitę świętą ogłoszono. Pochodziła ona ze Szwecyi z książęcego rodu. Już jako dziecko odznaczała się wielką pobożnością. Na życzenie ojca wyszła za mąż za księcia Ulfo. Ośmioro dzieci wychowała w wielkiej bojaźni Bożej, a jedna z jej córek, Katarzyna, została także świętą. Po śmierci męża rozdzieliła majątek między dzieci, sama zaś w późnej starości udawała się do Rzymu i do Ziemi świętej. Umarła 23 lipca 1373 r. a 1391 została policzona w poczet świętych. Założyła ona zakon Birgitek, czyli zakon Zbawiciela świata. Św. Birgity nie należy mieszać z św. Brygidą, która pochodziła ze Szkocyi i jest patronką Irlandyi. Św. Brygida żyła w piątym wieku po Chrystusie, a więc daleko wcześniej od św. Birgity.

K o l o n i z a c y a żydów. Dzienniki europejskie powtarzają oświadczenie barona Hirscha w sprawie emigracyi żydów do Argentyny. Każda rodzina żydowska otrzyma 150 akrów ziemi i utrzymanie na rok; w drugim roku musi wyżywić się sama; od trzeciego zaś roku dzierżawy opłacać będzie ratami.

Loterya liczbowa, zwana „małą” jest w istocie rzeczą niemalą klęską w Austrii, gdzie ubodzy ludzie tracą częstokroć ostatni grosz, krzywdząc żony i dzieci. Obliczono, że namiętność gry loteryjnej najwięcej czyni spustoszeń w Austrii Niższej, w Tryeście i w Istrii 129, w Styryi 90 złr. A wszystko to idzie głównie z kieszeni klas uboższych.

T e l e g r a m y donoszą że prezydent Rzeczypospolitej Brazylijskiej ogłosił się dyktatorem czyli nieograniczonym władcą.—Los Fonseci będzie pewnie ten sam, jaki spotkał podobnego mu Balmacedy.— Tak wróżą wszyscy.

R z ą d Stanów Zjednoczonych zawarł z rządem niemieckim umowę, mocą której amerykańskie zboże będzie miało wolny od cła wstęp do Niemiec pod tym warunkiem, że Stazy Zjednoczone po dzień 1go stycznia 1892 roku zostawią wstęp wolny od cła dla niemieckiego buraczanego cukru.

J e d e n a ś c i e mil na północ od góry Eliasza, w Alasce, p. Glave podróżnik odkrył ogromne pokłady miedzi. W początkach bieżącego miesiąca wniósł podanie do Washingtonu o nabycia praw do swego odkrycia.

Z o g r o m n y m pospiechem dzień i noc pracują we warsztatach okrętowych w Brooklynie. Wydano rozporządzenie, ażeby i w niedziele pracy nie zawieszają, dopóki wykończonemi nie będą dwa największe statki.

NOWINY MIEJSKIE.

W D e t r o i t zawiązało się, a raczej odżyło na nowo Towarzystwa Przemysłowców Polskich. Na posiedzeniu d. 10 b. m. ustanowiono zająć się utworzeniem „Kółka Literackiego” jako drugiej gałęzi tegoż Towarzystwa.

Przyszłe zebranie—we Wtorek, dnia 17 Listopada o godz. 7½ wieczorem w Sali p. Sikory przy St. Aubin Ave. Redakcja Niedzieli od siebie również prosi Sz. Sz. Członków, aby licznie zgromadzić się zechcieli i wszyscy razem przez głosowanie sami oznaczyli, jak często odbywać się mają literackie posiedzenia.

W N i e d z i e l ę dnia 15 Listopada o godz. 7½ wieczorem odbędzie się w sali Polonia przedstawienie teatralne. Panny Towarzystwa Najśl. Serca Maryi przy Kościele św. Józefata ze współudziałem pp. Rzeszotarskiego i Morawskiego odegrają słynny jednoaktowy dramat Franciszka Coppee:

„Ojciec Nasz.”

Wstęp 25 c. od osoby. Bilet dla dzieci 15 c.

D n i a 9 Listopada wysłano z Detroit ośmdziesiąt tysięcy buszli pszenicy, dwa tysiące kukurydzy i tysiąc buszli owsa.

KARTKI DLA NAUKI.

ZIEMIA, POWIETRZE, WODA.

Wiele jest ciekawych rzeczy o powietrzu do opowiedzenia; ale przy tej opowieści musimy zacząć już i o wodę, chociaż dopiero na końcu o niej właściwie powiemy. Uważaliście sobie to nie raz, że kiedy na kominie przystawi się garnek z wodą do ognia, z początku jakby nic; a potem im więcej rozgrzewa się

woda, tem więcej uchodzi z garnka pary, a gdy woda już zawre na dobre, natenczas gdy nakryjecie garnek pokrywą, wnet ją odrzuci. Zkądże naraz wzięło się tyle pary i dlaczego ona gwałtem na świat się ciśnie? Dlatego, bo się woda mocno ogrzała. Gdzież się podziewa ta para? A wychodzi, u jednych kominem na pole, u drugich rozchodzi się po izbie, opada na okna, ściany i inne rzeczy.

Pytamy was teraz, mili czytelnicy jak to wyglądają okna i ściany u tych ludzi niebaczących, co pozwalają parze gospodarować po swoim mieszkaniu? Oto ściany i wszystko w chacie wilgotne; a okna choćbyś jak obcierał, zawsze mokre. Dlaczegoż to para ta przemieniła się znowu w krople wody? Dla tego oczywiście, że powietrze w izbie, chłodniejsze niż w garnku, ścięło ją naprzód w wodę.

Otóż, co się dzieje z wodą w garnku przy ognisku na kominie, to samo, trzeba wiedzieć, dzieje się ze wszystkimi wodami na świecie Bożym przy słońku na niebie. Kula nasza ziemską dźwiga trzy razy więcej wody niż ziemi. Tą wodą są: morza, rzeki, jeziora, stawy, strumyki, źródła, a w części moczary i trzęsawiska. Wszystkie te wody, czy mamy ciepło, czy zimno, ciągle wydają z siebie parę, która unosi się w powietrze; a im bardziej słońko dogrzewa, tem coraz więcej powstaje pary. Nawet lód i śnieg wyparuje. Para ta czasem nisko i gęsto po ziemi się ścięła; wtedy mówicie, że jest mgła. Najczęściej jednak para pędzi w górę; a gdy powietrze dobrze już napełni się tą parą i gdy powieje na nią wiatr zimniejszy, wtedy para ta tu i owdzie skupia w rozmaite płaty, to jaśniejsze, to ciemniejsze, postaci już pierzastej, już strzępiastej, a które nazywacie obłokami. Obłoki — ta piękna ozdoba błękitnego nieba, raz mniej drugi raz więcej od ziemi się oddalają, wiszą czasami spokojnie, to znowu pływając ciągle, zmieniają swe miejsca i formę. Gdy je ogarnie powietrze cieplejsze, wnet się rozchodzą i niebo się wypogadza, ale gdy zetną się z bardziej zimnym wiatrem, skupiają się, ciemnieją i tworzą posępne chmury, które nam niekiedy całe niebo zasłaniają. Jakże to ciemni muszą być ludziska, co powiadają, że chmury to są worki napchane wodą.

Ciąg dalszy nastąpi.

Z KRAINY ŚMIECHU.



Szymek (co przepijał cały swój zarobek, będąc raz trzeźwym, rzekł do swego sąsiada Michała): Michale! ja mam strach, żebym żebrakiem nie umarł.

Michał: Jeszczeby to było pół biedy, ale ja się obawiam, abyś jako żebrak żyć nie musiał.

DO RYCIN.

Do znakomitych obrazów galeryi Watykańskiej należy bez wątpienia obraz przedstawiający męczenników Gorkomskich, pędzla znakomitego Fraccasini z Orvietto. Wystawia on (patrz str. 127) scenę z przesładowań religijnych za czasów tak zwanej reformacji: Kalwini w miasteczku Gorkom ujętych zakonników chcieli zmusić do odstępstwa od wiary—a gdy namowy i groźby nic nie pomogły, skazali wszystkich na śmierć przez powieszenie, którą każdy z podaniem się woli Bożej poniósł. Kościół wpisał ich w poczet świętych i czci pod imieniem Męczenników Gorkomskich.

Rycina na str. 126 przedstawia opuszczoną niegdyś pogańską świątynię w południowych Włoszech, w bliskości miasta Prestum; — cała zbudowana z kamienia, w stylu korynckim. Archeologowie utrzymują że była wzniesiona na siedmset lat przed narodzeniem Chrystusa Pana. Z pozostałości wnosić można iż był to kiedyś gmach wspaniały.

Jednym z najbardziej zasłużonych mężów w obronie wiary i niepodległości Polski w czasie najazdu Szwedów, był Ks. Augustyn Kordecki. Historia obrony Częstochowy i pomoc Najświętszej Panny znaną pewnie jest wszystkim. Dziś podajemy tu na rysunku (str. 124) pomnik w Częstochowie jakim wdzięczni rodacy uczcili pamięć zasłużonego i świętobliwego męża.

Wnętrze wspaniałej bazyliki Najświętszej Panny Snieżnej w Rzymie liczne przyozdabiają freski— wykonane przeważnie pędzlem Rafaela. Na str. 121 podajemy kopię słicznie wykonanego tam obrazu Daniela i Dawida. Daniel, mężczyzna w podszłym wieku, trzyma tablicę z prorocत्वami—Dawid w postaci pięknego młodzieńca zwrócony do Daniela pisze swoje kłęgi.—Kontur tego obrazu odrobił sam Rafael.—Koloryt dał jego uczeń Tymoteusz Bili, pod nadzorem samego mistrza.

BRACIA FR. I M. PIOTROWSCY

utrzymują

SKLEP Z OBUWIEM

dla mężczyzn, kobiet i dzieci

811 St. Aubin Ave.

Reperacje wykonują szybko i po najtańszych cenach.

AUGUST G. SCHWEIZER,

Piekarnia i cukiernia,

Chleb i ciasta.

Przyjmuje obstalunki na wesela i zabawy.

838 Chene róg Canfield Ave.

Detroit, Mich.

BRACIA ZIMMER,

SKŁAD TOWARÓW ŁOKCIOWYCH
KRAJOWYCH I ZAGRANICZNYCH.

735 i 737 Gratiot Ave. cor. Chene st.

CHILINSKI & BARAŃSKI

KRAWCY

Skład ubiorów męzkich i dziecinnych — wszelkiej bielizny, kapelusze i t. d. po najtańszych cenach.

Jako doświadczeni krawcy uskuteczniają wszelkie roboty trwale i gustownie.

Przyjmują obstalunki i z innych miejsc na listowne żądanie i za przesłaniem miary.

512 St. Aubin Ave.

Detroit,

Mich.

JAN DIESING,

Fabryka skład MEBLI.

Wyroby tapicerskie.

Najtaniej w mieście — przyjdźcie i przekonajcie się.
578 Gratiot Ave. — — — — — Detroit, Mich.

PIERWSZA POLSKA APTEKA

DRA. W. K. KWIECINSKIEGO.

Róg ulic Benton i Rivard.

Detroit,

Mich.

A. Posselius, G. C. Cordes, J. W. Betzing.

POSSELIUS & CO.

MEBLE.

Dywany, pościel, wózki dziecinne i t. d.

414 — 418 Gratiot Avenue.

Detroit,

Mich.

OJCZE NASZ

DRAMAT W JEDNYM AKCIE FR. CÖPPEE.

PRZEZ

Ks. Dra. M. BARABASZA.

VICE-REKTORA SEMINARIUM POLSKIEGO

W DETROIT.

Cena 15 centów.

Książeczka ta — wydana na pięknym, welinowym papierze, — jest obrazkiem siostry, która po zamordowaniu jedyne go jej brata, Ks. Jana Morela, najprzód rozpacza straszliwie i w szale bluźni niebu, a po rozmowie z sędziwym Proboszczem uspokaja się i wkońcu, jako Chrześcijanka, mówiąc: „odpuść nam nasze winy” — ocala jeszcze od śmierci niegodziwego mordercę.

Wszystko to opisane jest wierszem — w formie rozmów między osobami: Różą, Proboszczem, Zuzaną, Blanką, Jakóbem Leroux i Oficerem z Wersalu.

Ktoby chciał nabyć ciekawe dziełko niech napisze do Redakcyi „Niedzieli” i przyśle dokładny swój adres. Zamiast pieniędzy może w liście załączyć znaczków pocztowych [post stamps] za 15 cent.

Podajemy do wiadomości Sz. Sz. Czytelników, że wkrótce opuści prasę naszą:

KALENDARZ POLSKO---KATOLICKI

na rok przestępny
1892.

Cena 25 centów.

WALENTY GEIST,

KAROL GEIST.

W. Geist i Syn,

KARAWANIARZE.

Balsamują ciała.

Telefon 637.

51 Monroe Ave.

Detroit,

Mich.



Istnieje od roku 1870.

Fabryka masy (roller composition), walcy drukarskich i Felt roller.

Walce nasze zdobyły sobie wielki rozgłos z powodu swej trwałości. One były w użyciu przez 27 miesięcy w Detroit Evening Journal.

W. K. RANNEY.

66 Griswold St.

Detroit, Mich.

W DRUKARNI PRZY SEMINARIUM POLSKIM

wykonywamy wszelkie prace drukarskie.

DRUKUJEMY: KSIĄŻKI, KONSTYTUCYE, AFISZE, BILETY, OBRAZY i t. d.

mamy dobór czcionek, ozdób, obrazków, własną prasę parową, zdolnych robotników,

CENA PRZYSTĘPNA

DOCHÓD NA SEMINARIUM POLSKIE.

J. C. SCHENK.

Skład towarów żelaznych — Naczynia domowe — Blacha — Żelazo — Miedź. Wszystko po najtańszych cenach. Przyjdźcie do nas a zaoszczędzicie sobie pieniędzy.

176 Randolph róg Champlain ulicy.

Detroit,

Mich.

EUGENIUSZ LALLEMENT.

Krawiec francuski.

POLECA SIĘ WZGLĘDOM SZANOWNEJ PUBLICZNOŚCI.

Ma on zawsze na składzie doborowe Materyały sprowadzone z Europy. Wakuje ubiory według najnowszej żurnali otrzymywanych co miesiąc.

21 Congress St.

Hotel Normandie.

Detroit,

Mich.